



Anna Szafrńska

Jasmina

SERIA PINK TATTOO
TOM 3



Copyright ©
Anna Szafrńska
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2020
Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Beata Kostrzewska
Korekta:
Justyna Nowak
Katarzyna Olchowy
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-410-8

ANNA SZAFRAŃSKA

JAŚMINA

PINK TATTOO #3

OŚWIĘCIM 2020

Godność nie ma znaczenia, jeśli się jest marionetką w czyichś rękach.

Lalką pozbawioną woli, zmanipulowaną w taki sposób, że traci świadomość istnienia.

Nauczono mnie mówić to, co chciała usłyszeć druga osoba. Zostałam zaprogramowana do bezwzględного podporządkowania. Myślałam, że tak trzeba, że to było słuszne. Tak mnie wychowano i tylko takie życie znałam. Bym słuchała jednej osoby.

Mojej matki.

Kobiety, która sprawiła, że przez znaczną część swojego życia nie rozumiałam, że krzywdzę innych. Że posiadam... głos. Głos, którego mogę użyć i który zostanie usłyszany.

I że ktoś może odpowiedzieć na moje wołanie.

Dostałam szansę, by wyrwać się z tej klatki, zostawić życie w niebycie za sobą, zakochać się i marzyć. Nikt, kto wcześniej nie wiedział, czym są marzenia, jak cudownie jest móc je realizować, nie zrozumie, jakie to upajające uczucie. To wolność. A gdy się na nią otworzyłam, przyszła i miłość. Bo wbrew wszystkiemu, co mi wpajano, ona naprawdę istniała, a ja byłam zdolna, by kochać prawdziwie.

Jednak gdy wymawiałam sakramentalne „tak”, gdy obiecywałam miłość, wierność i uczciwość małżeńską temu jedynemu, wówczas nie czułam wagi tej przysięgi. Nie czułam tego, co w tej chwili, gdy patrzyłam na dwoje bliskich mi ludzi, członków mojej rodziny, którzy chcieli spędzić razem resztę swojego życia. I którzy szczerze się kochali, obiecując przy tym, że nigdy w siebie nie zwątpią.

Teraz rozumiałam te wszystkie mamy, babcie, ciotki i inne kobiety, które zaczynały ronić łzy przy wymianie obrączek. Wspominały własny ślub z czułością, zerkając na mężów, czy też same wyczekiwały podobnie cudownego dnia, gdy w końcu złożą przysięgę małżeńską temu jedynemu. Ja też należałam do tej grupy, tyle że... swoją miłość już dawno straciłam.

Bezpowrotnie.

Nie miałam z kim dzielić tych wspomnień.

Nie każda para zostaje ze sobą na zawsze, mimo że obiecała sobie „miłość, wierność i uczciwość małżeńską”, a „nie opuszczę cię aż do śmierci” to tak naprawdę banalny zlepek kilku słów. To kłamstwo. Tak jak całe moje życie.

Bo ja musiałam tę miłość wypuścić.

Pozwolić jej odejść.

Bo byłam zbyt mocno uszkodzona. Niepełna.

Jak widać, nie każda bajka kończy się happy endem.



ROZDZIAŁ 1

*Jeśli świt przyłapie nas
Wykrzyczę mu to prosto w twarz
Mamy miłość, chcemy życie brać
Na błędy mamy czas
Chcemy dalej dojść
Niż na wyciągnięcie ręki
Jeśli świt przyłapie nas
Staniemy z nim tu twarzą w twarz.*

Daria Zawiałow, Król, Igo, Świt

– Na skutek zgodnie złożonych oświadczeń, w obecności świadków, godła Państwa Polskiego i przede mną, kierownikiem Urzędu Stanu Cywilnego, ogłaszam, że związek małżeński między panią Malwiną Emilią Collins i panem Arkadiuszem Damięckim został zawarty zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa – wyrecytował obłudnie przystojny, na oko trzydziestoparoletni urzędniczyzna, po czym obrzucił dobrotliwym spojrzeniem ludzi zgromadzonych w sali i uśmiechając się lekko, zachęcił: – Można bić brawo.

Więc klaskaliśmy. I w przypadku Mata, a także kilku kumpli Arka, głośno gwizdaliśmy.

Ja dodatkowo starałam się zapanować nad cholernymi łzami.

Ze wzruszeniem ściskającym gardło obserwowałam, jak Arek pochyła się i obejmując delikatnie Malwinę, przy niemal

ogłuszającym akompaniamencie braw i gwizdów, czule scałowuje jej nerwowy chichot. Nie został nawet ślad po Arku, który dosłownie pięć minut temu trząśł się jak galareta, nie mogąc chwycić maciupkiej obrączki ze srebrnej tacki trzymanej przez Lilkę i Oskara, który także nie ułatwiał mu zadania, gdyż dziękopodsakował na biodrze swojej mamy, klaszcząc i rozdając rozbrajające uśmiechy na lewo i prawo. W końcu Arek stanął na wysokości zadania i nasunął obrączkę na palec Malwiny, a ta tylko przewróciła oczami i wsunęła ją do końca. W chwilę później sala eksplodowała śmiechem, gdy to ona z zaciętą miną wcisnęła złoty krążek na serdeczny palec Arka, poklepała to miejsce i mruknęła tryumfalnie: „dobrze siedzi”. Już miałam spytać, czy mam przynieść zaprawę (tak dla pewności), ale moje myśli wypowiedział na głos siedzący niedaleko blondyn. Odruchowo zacisnęłam palce na bukietcie Malwiny.

Wysoki, ciemnowłosy urzędnik zaprosił państwa młodych i świadków do złożenia podpisów, przy czym głośno i szalenie oficjalnie spytał Malwinę, jakie nazwisko będzie nosić po zawarciu małżeństwa. Dla nikogo nie było zaskoczeniem, że przyjęła dwuczłonowe nazwisko Collins-Damięcka. Jakby nie patrzeć, jeszcze przez jakiś czas oboje będą mieszkać i pracować w Irlandii, a ona sama w przyszłości miała kierować rodzinną firmą.

Zaraz po tym, jak Malwina i Arek podpisali dokumenty, przeszłam do ogromnego, bogato zdobionego biurka i chwyciłam do ręki długopis. Po dwóch sekundach było po sprawie. Chciałam czym prędzej odłożyć go na blat, ale wtedy wokół moich palców zacisnęła się czyjaś dłoń. Nie musiałam podnosić oczu, by wiedzieć, do kogo należy. Już pierwsza iskra poraziła moje ciało do tego stopnia, że chciałam się wyrwać, a jednocześnie, co było irracjonalną myślą, zostać w tej pozycji jeszcze chwilę – lub dwie.

– Teraz moja kolej – wymruczał mi do ucha aksamitny głos. Dało się wychwycić zmysłową chrypkę, która robiła mi wodę z mózgu. I działało się tak za każdym razem, bo moja wyobraźnia

zaczynała mi podsuwać sugestywne wizje bazujące na wspomnieniach, gdy jego głos był przesycony żądzą i pragnieniem. Gdy był złakniony mnie.

Udając, że kompletnie nie wytrąciło mnie to z równowagi, podniosłam się z krzesła, tyle że odruchowo odwróciłam głowę. Mój błąd, bo natychmiast zostałam pochwycona przez ten krystalicznie czysty odcień błękitu. I gdyby nie kpiący, ironiczny uśmieszek, który wykwitł na ustach mężczyzny, pewnie westchnęłabym rozmarzona, nie bacząc na zgromadzonych wokół nas ludzi. Puszczając długopis i oswobadzając dłoń lekkim ruchem, odsunęłam się, robiąc mu miejsce przy biurku. Nie odpuściłam też kolejnej moralizującej rozmowy z samą sobą.

Tymon Collins był zakazany.

Zakazany!

I jako obiekt chwilowych fantazji, i jako sam mężczyzna.

Po prostu zakazany.

Z gracją usiadłam na wysokim krześle obok Arka, ukradkowo spoglądając w bok, jednak ta wesoła parka niczego nie zauważyła. W sumie odkąd mój brat zobaczył Malwinę w białej sukni, całkowicie zatracił poczytalność, ale nie miałam do niego absolutnie żadnych pretensji. Moja bratowa zawsze była piękna, ociekała wręcz niewymuszonym seksapilem, niemniej dzisiaj przeszła samą siebie, występując w sukni ślubnej o kroju syrenki. A skubana miała figurę do pozazdrosczenia. Jędrne, pełne piersi, wąska talia, zmysłowe pośladki oraz kształtne uda, które niejednego faceta przyprawiły o utratę zmysłów. Do tego jej suknia z długimi, koronkowymi rękawami eksponowała nagie plecy, a rozcięcie sięgało niemal łądźwi. Kilka razy przyłapałam Arka, gdy jego wzrok bezwiednie uciekał w tamto miejsce, i chyba nawet sama Malwina wiedziała, jaką reakcję wywołała u swojego faceta – gdy czuła na sobie spojrzenie męża, na jej policzki wypływał rumieniec, a ona sama wierciła się nerwowo.

Po części oficjalnej i dość pospiesznie wypitej lampce szampa, przyszedł czas na życzenia. Wyszliśmy przed budynek Wagi miejskiej, w której mieściła się sala Urzędu Stanu Cywilnego, gdyż kolejna para już szykowała się do swojej ceremonii. Tam Malwina i Arek zostali obrzuceni kwiatkami i drobniakami. Ktoś nawet dla żartu rozrzucił zabawkowe banknoty o nominale pięciuset euro, jednak i ta zagadka została szybko rozwiązana – Mateusz podawał je Oskarowi, a ten ochoczo ciskał nimi pod nogi cioci i wuja i uciekał w podskokach.

W czasie gdy Tymon poszedł przyprowadzić samochód Arka, ja odbierałam kwiaty oraz koperty i umieszczałam je w przezornie przygotowanych wcześniej ozdobnych drewnianych skrzynkach.

I tylko jedna osoba cały czas stała na uboczu. Z nikim nie nawiązała kontaktu wzrokowego, nie mówiąc już o samej rozmowie. Ojciec Malwiny i Tymona miał minę, jakby został zmuszony pod karą śmierci do przyjazdu na ślub własnej córki. Przez ostatnie dni starałam się nie ingerować ani nie rzucić uszczypliwymi komentarzami wobec jego ewidentnej arogancji, w efekcie czego miałam wargi pogryzione niemal do krwi. Musiałam się też upominać, że ostatnie, co mogłabym zrobić, to prawić komuś kazanie. Niemniej wkurzała mnie zachowawczość starszego Collinsa. I chociaż Tymon był ulepiony z innej gliny, to musiałam przyznać, że doszukałam się kilku podobieństw – ich oceniający, stalowy wzrok był niemal taki sam, identycznie zaciskali usta, gdy coś ich wkurzało, albo groźnie mrużyli oczy, gdy byli o krok od rzucenia jakimś uszczypliwym tekstem. Ale jedno trzeba było oddać starszemu Collinsowi – gość miał klasę. Natomiast Tymon... Cóż, gorąco buchało mi prosto w twarz na samo wspomnienie, w jaki sposób granatowa marynarka opinała jego wysportowaną sylwetkę.

– Muszę to powiedzieć. Garnitur zmienia faceta.

Obejrzałam się na Laure, która jak się okazało, przysunęła się całkowicie niepostrzeżenie i zmieniając ujęcie, zrobiła serię zdjęć ostatniej parze, która składała życzenia Arkowi i Malwinie. Odbierając kwiaty i kopertę, dostrzegłam czarny obrys tatuaży wystających spod mankietów koszuli brata. Tribale, które stanowiły niemałą pamiątkę po jego pierwszej żonie, Paulinie. I których ani on, ani Malwina nie mieli w planach usunąć.

– Faktycznie, Arek wygląda jak jakiś gangster – sarknęłam, odkładając prezenty do skrzynki u swoich stóp.

– Nie mówiłam tu o Arku, tylko o Tymonie! – Zaśmiała się Laura, wdzięcznie przewracając oczami. – Wiesz, Mateusza i Arka widziałam już kilka razy w garniturze, natomiast Tymon... – Urwała, wzdychając z podziwem. – No, jest na co popatrzeć.

– Bo we wszystkim wyglądam zajebiście. – Usłyszałam aksamitny głos za plecami, a cholerny dreszcz natychmiast poraził mi skórę. Tymon obszedł nas i złapał za skrzynkę. I wszystko byłoby dobrze, gdyby w tym czasie nie rzucił mi tego kokieteryjnego uśmiešku, a jego palący wzrok nie sunął po moich odsłoniętych nogach. – A jeszcze lepiej wyglądam bez niego – dodał przekornie, zapewne widząc, w jaki sposób mrużę na niego oczy.

Przezornie usunęłam mu się z drogi, gdy w końcu podniósł skrzynię i włożył ją do bagażnika samochodu Arka zaparkowanego przy ścianie Wagi miejskiej.

– Gumowe ucho – mruknęłam pośpiesznie.

– Po prostu mam szósty zmysł i wiem, kiedy się mnie obgaduje. Albo komplementuje. – Błysnął uśmiechem i splatając ręce na piersi, zajrzał Laurze przez ramię, gdy ta przeglądała zdjęcia w aparacie. – I jak, cyknęłaś jakieś fajne fotki?

– Całkiem sporo. Jutro prześlę ci je na maila.

– Luz, może być później, bo i tak nie zabiorę się za ich obróbkę wcześniej niż w okolicach środy. Przy okazji możesz przesłać też te z panińskiego – dodał całkiem swobodnie, ale gdy drgnęłyśmy nerwowo, zmierzył nas czujnym spojrzaniem.

Laura gwałtownie zaczerpnęła powietrza i wyłączając aparat, wcisnęła go pospiesznie do torby przewieszzonej przez ramię.

– Chciałbyś – prychnęłam, pozornie swobodnie wzruszając ramionami. – Wybij to sobie z głowy, Collins. Ja na przykład absolutnie nie jestem ciekawa, jak wyglądał wasz wieczór kawalerski.

– T-tak, dokładnie! – pisnęła Laura, gestykulując tak żwawo, jakby nagle przeszła na język migowy. – Poza tym te zdjęcia już zostały zgrane. I przesłane Malwinie! Także... Naprawdę nie ma do czego zaglądać. Kolacja, spacer po Rynku, drinki w barze... I takie tam...

Niestety, jej spanikowany słowotok spowodował, że Tymon nabrał jeszcze większych podejrzeń, a samego spojrzenia, jakie we mnie wbił, nie powstydzilby się żaden przedstawiciel śledczo-sądowniczej instytucji, powszechnie zwanej Inkwizycją.

– Takie tam? – powtórzył głębokim, bezbarwnym głosem.

– Takie tam. – Znowu wzruszyłam ramionami i ostentacyjnie odwróciłam się od niego.

– Argument nie do przebicia. Czy wy coś... – Najwidoczniej chciał dalej drażnić temat, ale niespodziewanie przerwała mu Malwina, która całkowicie nieświadoma sytuacji podeszła do nas z oślepiającym uśmiechem na ustach.

– No to co? Jedziemy już do domu, nie...? – Przystanęła obok i przekrzywiając głowę, zamrugała z wolna, patrząc na mnie jak na wariatkę. – Džas... Co tobie...

Byłam przekonana, że swoim wytrzeszczem oczu tylko jeszcze bardziej ją przeraziłam, niemniej cel uświęcał środki. I byłam już o krok od sukcesu, ale w tym momencie Tymon wysunął się do przodu i syknął przez zaciśnięte zęby:

– Gdzie byliście na panińskim, że Laura i Jaśmina odmawiają przesłania mi zdjęć?

Malwina głośno nabrała powietrza i niemal wepchnęła mu w rękę swój bukiet, wołając spanikowana:

– Nie!

Tymon cofnął się zaskoczony, a Malwina natychmiast się zrelektowała i chciała powrócić do dawnego uśmiechu, ale wyszło jej to bardzo sztucznie. Zbyt sztucznie, przez co Tymon zmrużył oczy do rozmiaru mikroskopijnych szparek.

– Tymi zdjęciami się nie przejmuj! – Zaśmiała się, machając ostentacyjnie bukietem złożonym z fioletowych frezji. – Już je mam, więc nie musisz ich ogarniać.

Dawno się nauczyłam, że Tymon był ciężkim zawodnikiem i nie dał się łatwo zwieść. Już otwierał usta, ale w tym samym momencie zawołał go Arek i machnięciem ręki przywołał do siebie. Zauważyłam, że rozmawiał z Mirasem, naszym wspólnym kumplem i właścicielem salonu tatuażu na Wronieckiej. Niedawno pisał mi, że rozważa wysłanie Tymona na dwa tygodnie na szkolenie do studia Mirka.

Widząc, że zgodnie westchnęłyśmy z ulgą, Tymon tym bardziej nie był skory nam odpuścić, niemniej nie miał innego wyjścia, jak podejść do swojego szefa. Na odchodne sprzedałam chłopakowi obrzydliwie bezczelny uśmiech, na co wściekle zażgrzytał zębami.

– Było blisko – sapnęła Laura, wachlując się dłonią. Na moje oko straciła z pięć lat życia.

– Zbyt blisko – przyznała Malwina, obrzucając mnie ostrym spojrzeniem. – Cholera, Džas, ty i te twoje szalone pomysły!

– No co! – Zamrugałam niewinnie. – Ty też całkiem nieźle się bawiłaś, gdy ten czipendejs w stroju gliniarza...

– Milcz! – Przysunęła się, grożąc mi palcem. – I gdzie się podziała zasada: co się stało w Vegas, zostaje w Vegas?!

– Nie byłyśmy w żadnym Vegas – wymigałam się krnąbrnie.

– To przenośnia! Nawet Lilka nie zdradziła się przed Mateuszem, a to już jest sukces.

– Bo ona zasłoniła sobie oczy, kiedy... Kiedy Arek próbował nałożyć ci obrączkę, myślałam, że umrę ze śmiechu! – zaimpro-

wizowałam gładko, widząc, jak mój brat podkrada się za plecami Malwiny.

Chociaż w jego przypadku wyrażenie „podkrada się” brzmiało zbyt groteskowo. Nie ma takiej możliwości, by facet wielki jak głaz zdołał przysunąć się niepostrzeżenie. To tak, jakby Śpiący Rycerz, oficjalnie zwany Giewontem, nagle się podniósł i stwierdził, że położy się gdzie indziej.

– Nie myślałem, że aż tak będę się denerwować – powiedział Arek, nieco zmieszany moim przytykiem. Cel uświęcał środki, bo zamiast skupić się na naszych przerażonych twarzach, przytulił się do pleców Malwiny i czule ucałował jej odsłonięty kark.

– Poradziłeś sobie znakomicie – wymruczała jego świeżo upieczona żona, przesuwając dłońmi po jego przedramionach. Odchyliła się, wspierając głowę na jego szerokiej piersi i uśmiechając się łagodnie, a jej oczy nabrały nowego blasku. – Jedziemy?

– Pani przodem, pani Damięcka – wymruczał, biorąc ją pod rękę i prowadząc do samochodu.

Laura czym prędzej czmychnęła, by odszukać Lilkę i Mateusza, z którymi miała się zabrać, a ja zlokalizowałam Tymona. Niestety, musiałam przerwać dyskusję, jaką prowadził z Mirkiem – mogli dokończyć kiedy indziej, chociażby na przyjęciu weselnym. Akurat tego dnia musieliśmy się trzymać grafiku. Zapakowaliśmy się do czarnej terenówki Arka, która dzisiaj była komicznie przystrojona biało-fioletowymi bukietami z bżów i liliowymi wstążkami. Fura miała charakter, tego nie szło jej odebrać, jednak byłam pełna podziwu, że brat pozwolił Malwinie ot tak „oszpecić” klasyka, który był swego czasu jego oczkiem w głowie. Cóż, najwidoczniej terenówka została trwale zdetroinizowana.

Tymon odpalił samochód i sporadycznie dodając gazu, rozbudził drapieżny warkot silnika. Oczywiście nie mógł sobie odpuścić i trąbił głośno, objeżdżając cały Stary Rynek. Grupki anonimowych ludzi przystawały, głośno klaszcząc, a i znalazło

się kilkunastu śmiazków, na oko studentów, którzy próbowali zorganizować „bramkę weselną”.

– Nie wierzę... Już po! – westchnęła głośno Malwina i zapisała krótko. Obejrzałam się przez ramię i uśmiechnęłam szeroko, widząc szczęście wymalowane na twarzach dwojga najbliższych mi ludzi. – Ach! Teraz czuję, jak schodzi ze mnie cały ten stres!

– Tak, już po. I przed – dodał tajemniczo Arek, podnosząc do ust jej prawą dłoń i całując obrączkę. Tak samo zrobił z lewą, gdzie pocałował wytatuowany na serdecznym palcu pierścien Claddagh, z sercem skierowanym do wnętrza dłoni. Uwielbienie w jego oczach ustąpiło miejsca iskrzącemu pożądaniu. – Teraz wszystko przed nami, mała.

– Zostawcie coś na wieczór, a przynajmniej nie róbcie do siebie tych maślanych oczek przy dzieciach – mruknęłam niby-karcąco, kciukiem wskazując na siedzącego obok mnie Tymona. I jak zwykle zresztą nie byłby sobą, gdyby odpowiednio mi nie dogryzł.

– Odezwała się chihuahua. A i przepraszam, że prawie na tobie usiadłem, ale ledwo zauważyłem cię przy tym stole.

– Błagam, nie zaczynajcie – przerwała nam Malwina, widząc, że już otwieram usta, by odparować Tymonowi za tę zniewagę. Arek tylko westchnął bezsilnie.

Naburmuszona, obróciłam się na fotelu i zaplotłam ramiona na piersi.

– To on zaczął – dodałam na swoją obronę. Niezbyt pocieszyło mnie to, że cała trójka burknęła pod nosem bezsilnie brzmiące „wiemy”.

Gryząc sobie język, wyciągnęłam ze schowka okulary przeciwsłoneczne, które przezornie zostawiłam tam z samego rana, gdy przyjechałam do domu Malwiny i pomogłam jej wyszykować się na ślub.

Ten dzień to był istny kogel-mogel. Dopracowany w każdym szczególe, ale jednak galimatias. Od rana w domu przy Mazo-

wieckiej panowało istne poruszenie: między salonem, kuchnią a ogrodem, gdzie miała odbywać się część przyjęcia, krążyło około dziesięciu ludzi. Malwina wynajęła firmę cateringową, która miała sprawnie podawać do stołu i ogarnąć całe wesele. Ją samą zastałam w łazience, gdzie nad ślubnym makijażem i upięciem włosów pracowały wizażystka i fryzjerka. Jednak najkomiczniej wyglądał Arek, który wyszykował się na godzinę przed uzgodnionym wyjazdem do urzędu i bez przerwy poprawiał zawiązany u szyi krawat. Musiałam przyznać, w garniturze prezentował się powalająco, jednak absolutnie nie był przyzwyczajony do tak oficjalnych wystąpień. I tak przyłapałam go, jak powtarzał słowa przysięgi, krążąc po gabinecie i potrząsając rękami, by się odstresować. Z pewnością w naturalnym odruchu powinnam go szturchnąć i powiedzieć, że przecież powinien je znać, bo w końcu już jeden ślub zaliczył, ale... Te słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Wspominał Paulinę i najpewniej nadal ją kochał, ale to Malwina była jego nową miłością i kobietą, z którą chciał zacząć wszystko od nowa – rozpocząć nowe życie. Jego pierwszy ślub był tak inny od mojego. Arek składał przysięgę miłości i wierności, a te uczucia płynęły z głębi jego serca, natomiast ja... Ja nic nie czułam do Alana. Nie kochałam go. Jeszcze nie wtedy.

Dojeżdżając na ulicę Mazowiecką, zauważyliśmy, że wszyscy zaproszeni goście stłoczyli się na schodach, wzdłuż dróżki prowadzącej od furtki, a także na ganku. I zobaczyłam coś, co o mało nie spowodowało, że wypadłam na chodnik, wysiadając z samochodu – w drzwiach stał pan Collins, trzymając srebrną tacę z chlebem i solą. O cholera... Wiedziałam, że właśnie to dostali w przydziale Lilka z Matem, jednak jakim cudem udało jej się namówić ojca Malwiny?! Z drugiej strony kto jak nie ona był w stanie przekonać surowego i zimnokrwistego Collinsa. Wystarczyło, że zamrugała tymi swoimi zielonymi, niewinnymi oczkami, a i nawet największemu twardzielowi miękły kolana. Wystarczyło spojrzeć, jak poradziła sobie z Mateuszem.

Tymon odchrząknął znacząco, więc czym prędzej obiegałam samochód i pomogłam Malwinie wysiąść, przytrzymując tren jej sukienki, by nie pozamiatął wszystkich śmieci z chodnika. Zauważyłam, jak spięła się na widok ojca stojącego w drzwiach, a krew odpłynęła jej z twarzy. Ona także się tego nie spodziewała. I mimo że pracowała z nim niemal codziennie od przeszło pół roku, mimo że pozornie ich relacje uległy ociepleniu, to nadal instynktownie reagowała ucieczką.

Doskonale wiedziałam, że strachu przed wzgardzeniem przez własnego rodzica nie idzie wyplenić, pozbyć się ot tak, bo to wspomnienia pojawiające się z nienacka paraliżują całe ciało – to odruch, nad którym trudno jest zapanować. Jednak Malwina mogła teraz liczyć na Arka, swojego męża. Tego samego, który owijając sobie jej dłoń wokół ramienia, ucałował ją czule w czoło, a pochylając się, szepnął na ucho:

– Jestem z tobą. Zawsze będę. Razem damy radę, pamiętaj.
– Biorąc głęboki, drżący oddech, Malwina powoli skinęła głową i gdy ponownie podniosła oczy na Arka, ten uśmiechnął się czule, pocieszająco i odgarnął zbłąkany kosmyk z jej policzka. – Marzyłaś o tym, prawda? By twój ojciec był na naszym ślubie. Więc nie pozwól, by strach tobą zawładnął. Nie strać tej szansy.

Uśmiech zadrgał na jej pełnych wargach, a w oczach dostrzegłam nowo narodzoną siłę.

Powoli ruszyliśmy w stronę wejścia, a otaczający nas znajomi wystrzelili okolicznościowe race. Na nasze głowy posypało się kolorowe konfetti oraz sztuczne płatki białych i różowych róż. Malwina uśmiechała się wdzięcznie do każdego, jednak zauważyłam, że jej wargi zadrgały minimalnie, gdy stanęliśmy przed obliczem niewzruszonego pana Collinsa. Typowym dla siebie chłodnym tonem złożył młodej parze dość oględne życzenia. Arek podziękował mu, patrząc głęboko w oczy, podczas gdy Malwina, z nisko pochyloną głową, zawzięcie żuła kawałek chleba, jakby to był suchy karton. Arek zaprosił gości do ogrodu, a potem zabrał Malwi-

nę na chwilę do gabinetu. Czułam, że potrzebują chwili dla siebie, więc szybko uwinęłam się z podpięciem trenu sukni. Przyjaciółka trzymała się, ale widziałam, jak drżą jej ramiona. I gdy zamykałam za sobą drzwi, dosłyszałam cichy szloch. Ze szczęścia. Bo nigdy nie spodziewała się, że ojciec złoży jej życzenia, że powita ją podczas wesela w ich rodzinnym domu.

Nie tracąc czasu, zeszałam do ogrodu. Zająłam się usadzaniem gości przy okrągłych stołach ustawionych pod ogromnym namiotem, podczas gdy Tymon rozładował samochód z kwiatów i prezentów.

Dalej wszystko potoczyło się wedle stałego weselnego schematu. Malwina z Arkiem wypili lampkę szampana przy uniwersalnym akompaniamencie „sto lat!”, zjedliśmy pierwsze dania, w tym wybitny krem z kurek (zignorowałam Tymona, który naśmiewał się ze mnie, gdy ubłagałam kelnerkę o dokładkę) i nadszedł czas na pierwszy taniec. Wynajęty na tę okoliczność didżej zagrał przygotowaną piosenkę *Šwit* śpiewaną przez Darię Zawiałow, Króla, Igo, i cholera... Tak, poryczałam się. I to porządnie, mimo że rytm był dość skoczny, jednak same słowa... One charakteryzowały więc łączącą tych dwojga. Przeganiając zbląkaną lżę, wspólnie z gośćmi głośno śpiewałam refren, ale i tak nijak miało się to do potoku, jaki wylała z siebie Lilka – albo Basia, koleżanka Malwiny z czasów, gdy ta była naczelną Look’a. Całkiem dobrze dogadywałam się z nią podczas wieczoru panieńskiego Malwiny, a jej ekspresyjność szczególnie zapadła mi w pamięć.

Przyjęcie rozkręciło się do rozmiarów całkiem konkretnej imprezy, jednak tuż po dwudziestej drugiej, po przetańczeniu „belgijki”, przezornie przenieśliśmy się do domu. W salonie przygotowane zostały stoły, a także kolejne porcje jedzenia, które było wybitne, więc nie mogłam odmówić sobie dokładki strogonowa. I tak naprawdę dopiero po północy, gdy Malwina niemal została zmuszona, by rzucić bukietem, goście zaczęli się rozchodzić do domów.

A wracając do rzucania bukietem – Lilka pierwszy raz chciała mnie zamordować. Przynajmniej tak mi się wydawało, jednak sama się prosiła, bo stojąc obok mnie, kategorycznie odmówiła udziału w zabawie. Wypchnęłam ją w ostatnim momencie. Ostatecznie powinna być mi wdzięczna, bo to zmotywowało Mata, by dosłownie rzucić się niczym lew po krawat Arka. Ten skok został uwieczniony przez Laurę i już poprosiłam ją o przesłanie kopii – przyszło mi do głowy, by zdjęcie wykorzystać podczas wesela, które planowali zorganizować jesienią. Nie wiem tylko, jakim cudem Mat odgadł moje zamiary, ale gdy tańcząca z nim Lilka ukryła zaognioną twarz w jego ramieniu, rzucił mi twarde spojrzenie i bezdźwięcznie wymówił, bym „wybiła to sobie z głowy”. Myślałam o rzuceniu jakiejś kąśliwej uwagi, ale ostatecznie pozostałam przy niewinnym wzruszeniu ramionami, gdyż właśnie zauważyłam Malwinę, która stawiała dość toporne kroki. Szybko ulotniłam się z salonu, by pomknąć do sypialni przyjaciółki. Wróciłam chwilę później i od razu podeszłam do panny młodej siedzącej przy stole weselnym. Rozmawiała z Basią, popijając wodę z lodem.

– Masz – wymamrotałam, przysiadając obok nich, i ukradkiem rzuciłam jej pod nogi baleriny.

– Jesteś moim wybawieniem – westchnęła z ulgą i natychmiast rzuciła szpilki na rzecz miękkich szmacianych balerinek.

– Kiedyś potrafiłaś wytrzymać cały dzień w szpilkach. – Zaśmiała się Basia i pochyliła, by zobaczyć z bliska buty ślubne Malwiny.

– Tylko się nie śmiej. Zapomniałam ich rozchodzić – wyszeptwała wstydliwie panna młoda, przewracając oczami z własnego powodu.

Brutalnie roześmiałyśmy się z Basią.

– Błąd numer jeden totalnej amatorki – dodała blondynka, odkładając szpilki pod stół.

– Mnie to kompletnie nie dziwi. – Wzruszyłam ramionami i kpiąco uniosłam brew. – Kiedy niby miałaś to zrobić? Przylecieliście dwa tygodnie temu i od progu rzuciłaś: „Hej! Wiecie co? Pobieramy się!”.

Malwina pstryknęła na mnie palcem.

– I wtedy uznałaś mnie za niepoczytalną. Później za wariatkę. A dopiero na samym końcu wyściskałaś, piszcząc mi do ucha tak, że niemal pękły mi bębenki, i kopnęłaś Arka w tyłek, wkurzona, że nie pisał nawet słówka o swoim planie.

– Tak było, nie zaprzeczę.

– Więc to serio były dwa tygodnie? – Basia z uznaniem pokręciła głową. – Byłam przekonana, że żartujesz! Mogłabym dać sobie głowę uciąć, że kto jak kto, ale akurat ty będziesz miała rozciągnięty planer ślubny na co najmniej dwa lata.

– I nie myliłabyś się, ale... Sama nie wiem. – Malwina zasępiła się, przygryzając usta. – Same oświadczyzny Arka były dość spontaniczne, więc pomyślałam: „czemu nie?”...

– Moje oświadczyzny?

– Tak. Twoje – przyznała aż nazbyt spokojnie, odchylając się na oparciu krzesła, by złapać kontakt wzrokowy ze swoim mężem.

Pochylając się nad nią Arek uśmiechnął się dość ironicznie, najwyraźniej mając na ten temat odmienne zdanie, jednak ostro wciągnął powietrze, gdy Malwina, wyciągając ręce za siebie, objęła jego uda, a jej zręczne palce niepostrzeżenie uszczypnęły go w pośladek.

– Aaa! Moje, no tak, masz rację. – Zacisnął usta, próbując się nie roześmiać w obliczu zapalczywości swojej żony. – Ale i tak za późno – skwitował, wskazując na mnie głową.

Uśmiechając się niczym Kot z Cheshire, zacisnęłam dłonie na ramionach.

– Kiedy cię przyszpiliła?

– Żadne znowu przyszpiliła – fuknęła gwałtownie Malwina, ignorując naśmiewającą się Basię, która skręcała się na krześle obok. – Po prostu... Normalnie...

– Ani po prostu, ani normalnie – powiedział Arek, rozmyślnie przesuwając palcem po szkarłatnym zabarwieniu na karku Malwiny. – Doskonale pamiętam, w którym momencie powiedziałaś, że chcesz...

– Zaraz spełnię jeden z przywilejów żony. – Ucięła, okręcając się na krześle i ostrzegawczo mrużąc oczy.

Basi w końcu udało się zapanować nad oddechem i przestała tłuc dłonią w stół, za to ja złapałam się pod żebra, bo nie mogłam wytrzymać ze śmiechu.

– Uuu, trąci mi to kanapą! Znam to spojrzenie. Sama je stosuję. I zawsze jest skuteczne, więc korzystaj, ile wlezie. – Pstryknęła palcami, mrugając porozumiewawczo do Malwiny.

– Tylko nie ucz tego Lilki – prychnął Mat, przyciągając sobie krzesło obok mnie i rozpierając się na oparciu.

– To będzie pierwsza rzecz, w jaką ją wtajemniczę – powiedziała Malwina, uśmiechając się anielsko. – A gdzie Lilka? Chyba ją trochę wymęczył ten dzień.

– Na górze, usypia Oskara. Nie przyzna się do tego głośno, ale stresuje się tymi maturami – dodał zaniepokojony, ściągając brwi. – Jeszcze raz dzięki za pokój.

– Nie ma problemu. Poza tym jutro i tak jedziemy nad jezioro, do domku Arka, więc tak będzie wam wygodniej...

– Naszego – przerwał jej Arek, całując żonę w czubek głowy. – Naszego domku.

Podczas gdy Basia westchnęła, całkowicie rozwalona poziomem czułości, który osiągnęli państwo Damięccy, a Mat stwierdził, że najwyższy czas położyć się spać, nim jęki z sypialni Malwiny nie pozwolą mu zasnąć, ja wykorzystałam okazję i wyknęłam się cichaczem.

Przecinając kuchnię, w której zastałam już tylko kilku kelnerów i jedną kucharkę, którzy mieli posprzątać po imprezie, wyszłam przez drzwi jadalni na balkon prowadzący do ogrodu na tyłach domu. Potrzebowałam powietrza. Tłenu. Wytchnienia.

I uparcie wmawiałam sobie, że nie zazdrościłam. Nie zazdrościłam...

Nie chciałam miłości, zaangażowania, stabilizacji, bliskości... Trwałości... Nie chciałam żadnej z tych rzeczy, bo wiedziałam, jak smakuje ich nagła utrata. To pustka, której nie potrafisz wypełnić i która razi każdego dnia. Gdybym była inna, gdybym nie była tak... oszpecona, z pewnością moje życie wyglądałoby inaczej. Miałabym to wszystko, przed czym teraz się wzbraniałam. Czego się bałam.

Wzdychając głośno, ściągnęłam cholerne obcasy i oparłam się o betonową barierkę. Nie żeby Malwina siłą wcisnęła mnie w tę obcisłą kobaltową kieckę, ale sama chciałam ładnie wyglądać na ślubie brata i najlepszej przyjaciółki. Poza tym rola świadkowej raczej skłaniała ku temu, by prezentować się z klasą. A przynajmniej spróbować wyglądać na bardziej ułożoną, niż byłam w rzeczywistości. Chociaż ogólny efekt mogły psuć moje wytatuowane przedramiona i wdrapujące się na kark płomienie z tatuażu, który nosiłam na plecach.

Zasępiłam się, spoglądając przed siebie. Kwietniowa noc była pogodna, ciepła i dało się wyczuć unoszącą się w powietrzu wilgoć, sugerującą wczesne nadejście lata. Gdzieś pomiędzy krzakami na tyłach ogrodu dostrzegłam ruch, a zaraz po nim usłyszałam cichy, wdzięczny i nieco niesmiały śmiech, który natychmiast rozpoznałam.

Laura stała przy krzewie bladuróżowej magnolii. Palcami muskała delikatnie kwiaty i mówiła coś swoim łagodnym, melodyjnym głosem. Przez chwilę pomyślałam, że mówi do siebie, co wcale by mnie nie zdziwiło, jednak wtedy z cienia wysunął się

wysoki, dość dobrze zbudowany mężczyzna. Miał włosy obcięte na jeża i pomimo eleganckiego garnituru jego aura wydawała się dość posępna. Niebezpieczna.

Nie zwracając sobie głowy zakładaniem butów i nie chcąc tracić ich z oczu, przesłam wzdłuż barierki tarasu. Instykt podpowiadał mi, że powinnam jak najszybciej odseparować Laurę od tamtego mężczyzny. Jednak nim postawiłam stopę na pierwszym stopniu krętych schodów, wokół mojego ramienia zacisnęły się czyjeś chłodne palce, a przy uchu usłyszałam głęboki szept Tymona:

– Zostaw ich.

I cholera, gdzie w tym momencie podziała się moja intuicja i instykt?